



Kryminał z myszką

36

Złota igła

Albert Wojt

Albert Wojt

ZŁOTA IGŁA

Kryminał z myszką – Tom 36

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-05-8

Copyright © Wojciech Sadrakuła

Tekst: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1986 (Labirynt)

Nakład pierwszego wydania: 150 000 + 250 egz.

I

Adam Prut ostro docisnął hamulec i zatrzymał swego oliwkowego peugeota przed niezbyt okazałym wyglądającym segmentem przy jednej z bocznych uliczek starego Żoliborza. Odruchowo zerknął na zegarek. Mijała właśnie szesnasta, spóźnił się więc co najmniej pół godziny. Poczuł wyrzuty sumienia, a jednocześnie przemknęła mu myśl, że tym razem nie ominą go cierpkie wymówki. Z zakłopotaniem przejechał dłonią po gęstych, zmierzwionych włosach i zarośniętych policzkach. Sięgał właśnie do klamki, mając zamiar wysiąść z samochodu, kiedy w drzwiach segmentu spostrzegł Iwonę. Na jej szczupłej, niemal kościstej twarzy malowała się furia. Wymachując gniewnie torebką przemierzyła maleńki ogródek i moment później siedziała już obok Pruta.

– Jedziemy! – rzuciła ostrym, nie znoszącym sprzeciwu tonem. – Rób co chcesz, ale za dwadzieścia minut musimy być na Okęciu.

– Zdamy – bąknął uspokajająco.

– Mam nadzieję! – fuknęła jak kotka. – Inaczej obdarłabym cię ze skóry!

– Ależ siostruniu...

– Tyle razy ci powtarzałam, o której przylatuje samolot Janka, tyle razy prosiłam, żebyś choć raz w życiu był punktualny, a ty jak zwykle masz wszystko w nosie. Co więcej, od dwóch dni nie raczyłeś dać znaku życia...

Adam nie słuchał już gderania siostry. Włączył starter i peugeot wyrwał do przodu niczym pocisk wyrzucony z katapulty. Z piskiem opon wpadli na najbliższe skrzyżowanie, na kolejnym zmusili do ostrego hamowania jakąś syrenkę i po minucie byli już na Wisłostradzie. Tutaj Prut jeszcze przyspieszył i korzystając, że Iwona przerwała wymówki, spróbował się usprawiedliwić.

– Przedwczoraj musiałem pojechać w teren. Wiesz, tam gdzie w zeszłym roku załatwiałem sobie meble – zaczął przepraszać. – Stary kazał mi zrobić reportaż do sobotniego wydania, a w dzisiejszych czasach to nie takie proste.

– Mogłeś mnie chociaż zawiadomić, żebym się nie denerwowała.

– Niby jak? – energicznie potrząsnęła głową. – Od tygodnia w miasteczku strajkują. Poczta też...

– O co poszło? – zainteresowała się Iwona.

– O dyrektora fabryki mebli. Jedni wywieźli go na taczkach, a inni gwałtem chcą, by wrócił na dyrektorski stołek.

– Kto ma rację?

– Diabli wiedzą.

– Będziesz musiał jednak stanąć po czyjejś stronie.

– Chyba faceta obsmaruję... Te regały, które załatwił mi w zeszłym roku, już się sypią...

– Myślisz, że nowy dyrektor załatwi ci lepsze?

– Zależy, kto zostanie tym nowym dyrektorem...

Na skrzyżowaniu z Tamką zapaliło się czerwone światło. Prutowi przemknęła myśl, że powinien przyhamować, ale w tym samym momencie przypomniał sobie o lądującym za kilka minut samolocie, którym po trzyletniej nieobecności wracał do Polski szwagier. Bez namysłu docisnął gaz do deski. Wjechał na środek skrzyżowania i nagle poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz. Z lewej strony, dosłownie pół metra od peugeota, zaczerniała maska starej wołgi. Adam odruchowo zmrużył oczy. Kolejne ułamki sekund wlokły się niemiłosiernie. Rozpaczliwe szarpnięcie kierownicą, próba wprasowania pedału gazu w podłogę, szaleńczy taniec samochodu w prawo, w lewo i znowu w prawo... Już za skrzyżowaniem Prut odetchnął głęboko. Do zderzenia jednak nie doszło...

- Prowadzisz jak wariat! – W ochryplym z wrażenia głosie Iwony zabrzmiał niepokój połączony z odrobiną podziwu. – Prosiłam o pośpiech, ale nie chcę wylądować w szpitalu.
- Nie ma strachu! – zapewnił buńczucznie. – Dobrym kierowcom szczęście sprzyja.
- Jeśli nawet nie skręcisz kiedyś karku, to prędzej czy później zabiorą ci prawo jazdy.
- Milicja prasy nie tyka.
- Do czasu...

Chwilę później wyjechali na Trasę Łazienkowską. Ruch był tu większy niż na Wisłostradzie, ale Adam ani myślał zwolnić. Na szczęście tym razem obyło się bez przygód. Lawirując między sunącymi w trzech rzędach pojazdami w iście rekordowym tempie dotarli do alei Żwirki i Wigury. Na rondzie Prut ściągnął na siebie kolejną porcję przekleństw innych kierowców, nie speszył się jednak rykiem klaksonów i znowu dodał gazu. Jeszcze kilka minut szaleńczej jazdy i oliwkowy peugeot zaparkował z fasonem przed budynkiem Międzynarodowego Portu Lotniczego. Spikerka anonsowała właśnie przylot samolotu z Trypolisu...

Witających było niewielu. Iwona przepchnęła się energicznie do przodu i z wyraźnym zdenerwowaniem lustrowała barwną grupkę przybyłych. Wreszcie dostrzegła męża. Jan Makula pojawił się jako jeden z ostatnich. Bez pośpiechu zmierzał do wyjścia z trudem taszcząc wypchaną walizę. Modny, sztruksowy komplet opinający jego smukłą sylwetkę i śródziemnomorska opalenizna świadczyły wymownie, skąd przybywa. Iwona uśmiechnęła się radośnie i, odepchnawszy na bok jakiegoś Araba, podbiegła do męża.

- Nareszcie jesteś! – szepnęła. – Trzy lata to cała wieczność...
- Kochanie...
- Już nigdy więcej samego cię nie puszcze.
- Serwus, szwagier! – zagrział donośnie Prut. – Posłużyła ci ta Libia. Odmłodziłaś...
- Chciałem oszczędzić trochę grosza, więc przy okazji pozbyłem się brzucha – pół żartem, pół serio odparł Makula. – Teraz będę lepiej pasował do żony. Nikt nie zgadnie, że niebawem stuknie mi czwarty krzyżyk.

– Faktycznie, wyglądasz jak równolatek Iwony... O, przepraszam, siostruniu! – zreflektował się dziennikarz. – Chciałem tylko powiedzieć...

– Dzisiaj nie przeszkadza mi nawet twój niewyparzony język – odparła bez urazy. – Mam wreszcie swego Janka i poza tym nic się nie liczy.

- Kiedy oblewamy powrót naszego „Libijczyka”?
- Choćby i dzisiaj wieczorem. Zaprosiłam rodziców, wujka Zygmunta, Grobiczewskich...

– A Maćka Porębskiego? – zainteresował się Makula.

– To on już wrócił? – Spojrzała na męża z nie tajonym zdziwieniem. – Przecież byliście razem w Benghazi?

– Od dwóch miesięcy powinien być w Polsce. – Po rozradowanej dotychczas twarzy Makuli przemknął cień. – Umówiliśmy się, że wpadnie do ciebie zaraz po powrocie.

- Nie dał znaku życia.
- Jasna cholera!
- Miał mi coś przekazać?
- Nic ważnego. – Makula usiłował zbagatelizować sprawę, widać jednak było, że wiadomość niemile go zaskoczyła. – Tylko list...

Może zapomniał?

- Najprawdopodobniej...
- Zadzwonisz do kumpla i wszystko się wyjaśni – wtrącił Prut, chwytając ostentacyjnie walizkę szwagra. – A póki co, chodźmy do wozu. Przecież nie będziemy tu chyba sterczeli do wieczora...

II

Doktor Jan Makula nie bez rozrzewnienia popatrzył na pozbawiony wszelkich ozdób fronton masywnego, nie otynkowanego gmaszyska z czerwonej cegły. Budynek Instytutu Farmacji i Farmakologii wyglądał dokładnie tak samo jak przed trzema laty, kiedy naukowiec żegnał się z kolegami przed wyjazdem na kontrakt do Libii. Nie zmieniły się nawet starannie utrzymane klomby przed wejściem ani wysoki, równo przycięty żywopłot biegnący wzdłuż ogrodzenia.

Na ławeczce przy szerokiej, żelaznej bramie siedział przygarbiony, mocno posiwiały mężczyzna w mundurze portiera. Na widok Makuli jego pomarszczona twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

– Pan doktor już w Polsce? – powitał naukowca, dziarsko podrywając się z ławeczki. – Oczywiście wraca pan do pracy do instytutu?

– A jakżeby inaczej! – Chwała Bogu...

– Nie mogłem się już doczekać, kiedy znowu was wszystkich zobaczę.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej...

– Pewno, że tak...

Makula uściśnął portierowi rękę i ruszył do budynku. Z energią pchnął ciężkie, okute blachą drzwi. Mroczną klatką schodową wdrapał się na trzecie piętro, minął długi korytarz, skręcił w kolejny, prowadzący do bocznego skrzydła budynku, i po chwili stanął przed sekretariatem profesora Golubińskiego. Nacisnął klamkę. W środku modnie ubrana sekretarka dyskutowała o czymś zawzięcie z tęgim, rumianym na twarzy blondynem. Oboje jak na komendę odwrócili się w stronę przybyłego.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – zagrmiał Ostródzki na powitanie. – Jasio Makula we własnej osobie...

– Całuję rączki, pani Lucynko, serwus, Michał!

– Jak tam było w tej Libii?

– Nie najgorzej.

To widać! – roześmiał się Ostródzki. – Gęba ci zbrązowiała jak rodowitemu Arabowi.

– Przed tamtejszym słońcem nie można się schować...

Skrzypnęły obite czarną skórą drzwi, znajdujące się naprzeciwko wejścia z korytarza, i do sekretariatu zajrzał wysoki, barczysty mężczyzna w rogowych okularach.

– Czy ja się w końcu doczekam wyników wczorajszych badań nad szczepem GX-80?! – rzucił ostrym, pełnym zniecierpliwienia głosem. – Przecież prosiłem, kolego Ostródzki, żeby zajrzał pan do laboratorium, a tymczasem pan tu sobie ucina towarzyskie pogawędki... O, kolega Makula! – zreflektował się nagle, spostrzegłszy doktora. – Witam, witam!

– Wczoraj przyleciałem do Warszawy, a dzisiaj postanowiłem odwiedzić stare kąty... Stęskniłem się...

– Kiedy na dobre wraca pan do instytutu?

– Jutro jest wolna sobota, myślę więc, że od poniedziałku.

– Oczywiście do naszej pracowni?

– A gdzieżby indziej?

– To znakomicie! – szczerze ucieszył się Golubiński. – Bez pana czułem się jak bez ręki... Ale, ale! – przypomniał sobie. – Czy rozmawiał pan już z dyrektorem Kociubą?

– Pierwsze kroki wołałem skierować do pana profesora.

– Bardzo mi miło, muszę jednak uprzedzić, że czeka nas jeszcze batalia z szefem o pański powrót do naszego zespołu.

– Nie rozumiem w czym problem? – zdziwił się Makula. – Przecież przed wyjazdem pracowałem u pana.

– Na etacie klinicznym, a nie instytutu – odpowiedział wzdychając Golubiński. – Porębski był w tej samej sytuacji co pan, a kiedy wrócił przed dwoma miesiącami, Kociuba zabrał go do siebie... Ale czemu rozmawiamy na stojąco? Proszę do gabinetu... Pani Lucynko – odwrócił głowę w stronę sekretarki – pani pozwoli dwie kawy...

Chwilę później Makula zasiadł w wygodnym, choć niezbyt okazale wyglądającym fotelu przy okrągłym stoliku w rogu gabinetu Golubińskiego. Profesor zajął sąsiednie miejsce i uśmiechając się zachęcająco podsunął gościowi srebrną papierośnicę.

– Zapali pan?

– Chętnie. – Doktor skwapliwie sięgnął po camela. – Aż wstyd powiedzieć, ale odzwyczaiłem się od krajowych papierosów, a jakoś nie przyszło mi do głowy, żeby przywieźć sobie odpowiedni zapasik.

– Niech pan zajrzy do któregoś z peweksów. Wybór nie jest wprawdzie imponujący, zawsze jednak można coś dostać.

– Chyba skorzystam z pańskiej rady...

– Jak podobało się panu w Libii? – zmienił temat Golubiński.

– Kraj ogromnych kontrastów, egzotycznej kultury i zabójczego dla Europejczyka słońca.

– W Benghazi klimat nie jest jeszcze najgorszy.

– Miałem szczęście, że nie musiałem siedzieć gdzieś w głębi kraju.

– Zwiedzał pan zabytki?

– Byłem w Cyranei, Leptis Magnie i Sabracie, nie mówiąc już o Trypolisie, który liczy sobie przeszło dwa i pół tysiąca lat...

– To rzeczywiście kawał czasu, choć prawdę mówiąc widziałem w Chinach starsze miasta.

– Zazdroszczę panu.

– Może i pan wybierze się kiedyś na Daleki Wschód.

– Oj, chyba nieprędko...

– Pewno, że nieprędko – roześmiał się dobrodusznie profesor. – Teraz jest pan potrzebny tu, na miejscu.

– A propos! – podchwycił Makula. – Co z tym antybiotykiem cytostatycznym, nad którym pracowaliśmy przed moim wyjazdem? Pamiętam, że ostatnie doświadczenia na zwierzętach wykazały niepokojący wzrost skutków ubocznych. Miałem nawet skrupuły, że zostawiam pana w takim momencie...

– Opuszczając instytut oszczędził pan sobie wielu rozczarowań. – Golubiński machnął niechętnie ręką. – Myszkom zanikał szpik jeszcze szybciej niż przy podawaniu drakońskich dawek rubidomycyny, dyrektor Kociuba obciął mi fundusze, a na domiar złego docent Korbowicz dostał zawału.

– Czyżby przerwał pan badania?

– Na moim miejscu pan też dałby spokój.

– Wielka szkoda. Początkowo wszystko wyglądało nadzwyczaj obiecująco...

– Czasami tak bywa.

– Może kiedyś wróci pan do tego tematu?

– Teraz nie miałoby to już większego sensu.

– Dlaczego? Przecież ten specyfik mógłby znaleźć zastosowanie przy leczeniu nowotworów.

– Nie tylko mógłby, ale nawet znalazł – mruknął profesor. – To znaczy nie ten, a podobny – poprawił się, widząc zdziwioną minę Makuli. – Od zeszłego roku Amerykanie badają zbliżony do naszego lek w warunkach klinicznych.

– Znaczy, że nas uprzedzili?

– Niestety...

Cicho skrzypnęły drzwi. Do gabinetu wsunęła się Brodzielska z niewielką, plastikową tacką. Moment później na stoliku stały dwie filiżanki świeżo parzonej kawy i cukiernica. Golubiński skwapliwie poderwał się z miejsca i ruszył w stronę swego biurka.

– Nie uczciliśmy jeszcze pańskiego powrotu. – zauważył, wyciągnąwszy butelkę jugosłowiańskiego koniaku. – I niech pan nie zwiesza nosa na kwintę – dorzucił spoglądając na doktora znacząco. – Mam teraz na tapecie coś znacznie ciekawszego niż tamten szczep cytostatyczny.

– Mianowicie?

– Nowy antybiotyk polipeptydowy.

– Szczep GX-80? – Makula przypomniał sobie słowa profesora skierowane do Ostródzkiego.

– Właśnie! – potwierdził Golubiński napełniając kieliszki. – Jeszcze trochę i będzie można rozpocząć doświadczenia na zwierzętach.

– To brzmi zachęcająco.

– Właściwie oceni pan pomysł dopiero po zapoznaniu się z dokumentacją.

– Płonę z ciekawości!

– Widzę, że nie zdradzi pan naszej pracowni dla witamin dyrektora Kociuby. – Profesor zachęcającym gestem podniósł kieliszek.

– Nigdy w życiu!

– To pańskie zdrowie!

– Za pomyślny wynik badań.

Golubiński wypił koniak jednym haustem, jak gdyby to była zwykła wódka. Również i doktor pociągnął dwa spore łyki. Chciał właśnie zapytać o coś kierownika pracowni, kiedy ponownie otworzyły się drzwi i do gabinetu zajrzała Brodzielska.

– Dyrektor Kociuba prosi pana profesora – zaanonsowała z widocznym zakłopotaniem. – Są u niego przedstawiciele ministerstwa w związku z wrześnieowym sympozjum...

– Że też człowiek nie ma ani chwili spokoju! – zachnął się Golubiński. – Mnie nie płacą za drętwe rozmówki z urzędnikami. Od tego jest właśnie Kociuba!

– Ja tylko przekazuję – bąknęła sekretarka. – Nigdy nie ośmieliłabym się przeszkadzać panu profesorowi, gdyby nie...

– Dobrze, już dobrze! – bezceremonialnie przerwał Brodzielskiej. – Zaraz zobaczę, o co im chodzi... A pana bardzo przepraszam, panie Janku – zwrócił się do Makuli. – Bóg mi świadkiem, że rad bym z panem wszystko dzisiaj omówić, ale cóż, siła wyższa...

– Rozumiem.

– W każdym razie w poniedziałek czekam na pana.

– Będę punktualnie o ósmej.

– Powiedzmy, o dziewiątej...

– Jak pan profesor sobie życzy...

W sekretariacie nie było już Ostródzkiego. Makula zamienił kilka zdawkowych słów z Brodzielską, po czym pożegnał się i wyszedł na korytarz. Zamierzał odwiedzić dawnych znajomych z pracowni. Przystanął przed drzwiami pomieszczenia sąsiadującego z gabinetem profesora i sięgał właśnie do klamki, kiedy przypomniał sobie o Porębskim. Rozmowa z nim była bez wątpienia pilniejsza od towarzyskich plotek. Doktor nie wahał się ani chwili. Zawrócił i spieszenie pomaszerował w kierunku głównego skrzydła instytutu.

Na pierwszym piętrze, przy wejściu do szerokiego korytarza, widniała imponujących rozmiarów tablica głosząca, że mieści się tu pracownia numer jeden. Naukowiec minął ją i zapukał do pierwszych z brzegu drzwi. W środku nikt nie zareagował. Makula bezceremonialnie nacisnął klamkę, ale okazało się, że pomieszczenie jest zamknięte na klucz. Podszedł do kolejnych drzwi. Chciał właśnie zapukać, ale w tym momencie na końcu korytarza spostrzegł znajomą sylwetkę drobnego szatyna z kozią bródką.

– Serwus, Janek! – zawołał tamten z teatralną niemal radością. – Dobrze, że cię widzę.
 – Dlaczego nie skontaktowałeś się z Iwoną?! – sapnął doktor, ignorując powitanie. – Wróciłeś przecież dwa miesiące temu, a umawialiśmy się, że...
 – Wszystko ci zaraz wyjaśnię – Porębski przerwał Makuli. – Zaistniały pewne okoliczności...
 – Jakie znowu okoliczności?! – Doktor nie ukrywał ogarniającego go rozdrażnienia. – Co tu jest, u diabła, do wyjaśniania?!
 – Miałem kłopoty i nie chciałem płać w nie twojej żony.
 – Nie powiesz chyba, że ci zabrali? – Makuli przeszedł po plecach nieprzyjemny dreszcz.
 – Niewiele brakowało.
 – Człowieku! – Doktor chwycił kurczowo Porębskiego za ramię. – Wykrztuś wreszcie, co się stało?!
 – Widzisz...
 Jedne z drzwi w głębi korytarza otworzyły się i wyrzuciła z nich niewysoka, długowłosa blondynka we wzorzystej sukience.
 – Co z panem, panie Maćku? – zawołała do Porębskiego z nie tajoną dezaprobatą w głosie. – Szef od kwadransa czeka na pana.
 – Idę, już idę – bąknął pojednawczo. – Przecież tych kilka minut nikogo nie zbawi...
 – Panu się nie spieszy, a ja muszę słuchać wymówek!
 – Nie moja wina, że dyrektor taki w gorącej wodzie kąpany.
 – Kiedy będziesz wolny? – zaniepokoił się Makula.
 – Diabli wiedzą. – Porębski bezradnie rozłożył ręce. – Do instytutu zjechali faceci z ministerstwa i szef zarządził powszechną nasiadówkę.
 – Muszę z tobą pomówić...
 – Sam widzisz, że tutaj nie ma warunków.
 – Więc gdzie i kiedy?
 – Najlepiej jutro o wpół do dziewiątej wieczorem w „Gazeli”.
 – To ta knajpa koło twojej chałupy?
 – Właśnie.
 – Wobec tego jesteśmy umówieni...

III

Prut zaparkował peugeota na Ordynackiej i z cienką aktówką pod pachą ruszył bez pośpiechu w kierunku Nowego Świata. Sierpniowe słońce prażyło niemiłosiernie, przepocona koszula kleiła mu się do pleców, oddychał z trudem, ale nie tracił dobrego humoru. Według wszelkiego prawdopodobieństwa czekające go za kilka minut spotkanie powinno przynieść pomyślne rezultaty...

Minęła właśnie czternasta, kiedy zdecydowanym ruchem pchnął ciężkie, oszklone drzwi. W holu kawiarni panował przyjemny chłód. Dziennikarz zerknął przelotnie na znudzonego szatniarza i nie zatrzymując się wkroczył na salę. Przy jednym ze stolików stojących pod ścianą siedział tęgi, barczysty blondyn koło pięćdziesiątki w kremowych spodniach i sportowej koszuli. Palone przez mężczyznę długie cygaro i przypięty do jego koszuli emblemat jednej z zachodnioeuropejskich agencji prasowych świadczyły wymownie, że jest to cudzoziemiec.

– How do you do, mister Prut? – Blondyn poderwał się z krzesła i witał serdecznie dziennikarza. – I’m glad to see you!

– Ja również cieszę się z naszego spotkania, panie Deary – szczerze zapewnił Adam. – Mam nadzieję, że pan długo nie czekał?

– Ależ skąd! Jest pan wyjątkowo punktualny. – Anglik przeszedł na w miarę czystą polszczyznę. – Umówiliśmy się przecież na czternastą.

– Czego się pan napije?

– O przepraszam! – Deary stanowczo zaproponował. – Do tego lokalu ja pana zaprosiłem, pozwoliłem więc sobie złożyć zamówienie...

W istocie zachęcona perspektywą napiwku w twardej walucie młoda, jaskrawo wymalowana kelnerka pojawiła się na sali i niemal biegiem ruszyła do ich stolika. Moment później przed mężczyznami stały już dwie lampki koniaku i kawa.

– Pocziwym martelem chyba pan nie pogardzi? – na wszelki wypadek upewnił się Anglik. – Zresztą, prawdę powiedziawszy, nie mają tutaj nic innego na odpowiednim poziomie.

– Myślę, że wybór jest znakomity...

– Cieszę się... A przechodząc do meritum, muszę panu pogratulować. – Deary skinął głową z widocznym uznaniem. – Pański materiał okazał się rewelacyjny.

– Doprawdy?

– Po opublikowaniu artykułu przez dwa dni urywały się w naszej redakcji telefony. Dzwonili nie tylko pańscy rodacy i przedstawiciele Polonii, ale również rodowici Brytyjczycy.

– Nie spodziewałem się aż takiego oddźwięku...

– Co więcej, pański materiał został przetłumaczony na niemiecki i nie dalej jak wczoraj ukazał się w Republice Federalnej. Robi pan międzynarodową karierę, mister Prut!

– I pomyśleć, że mój naczelny nie puścił mi tego do druku...

– Zdecydowaliśmy się podwyższyć pańskie honorarium. – Anglik wyraźnie zbagatelizował ostatnią uwagę dziennikarza i sięgnął do kieszeni spodni po nieco zmiętą kopertę. – Proszę, oto pieniądze. Tak jak pan sobie życzył, płacimy w dolarach.

Prut przyjął kopertę i przez moment obracał ją w palcach. W końcu nie zdołał się powstrzymać i zajrzał do środka. Pieniądze były nowe, chyba jeszcze nie używane.

– Niech pan przeliczy – rzucił Deary zachęcająco. – Powinno być sto pięćdziesiąt dolarów.

– W interesach trzeba mieć do siebie zaufanie. – Dziennikarz starannie wygładził kopertę i bez pośpiechu schował ją do aktówki. – Zwłaszcza że jest to chyba dopiero początek naszej współpracy...

– Chętnie wydrukujemy kolejne pańskie artykuły. Oczywiście, o ile utrzymane one będą w tym samym tonie.

– Interesowałby pana materiał o sytuacji w polskich fabrykach mebli?

– Czy były tam jakieś strajki?

– Owszem, w jednej z nich trwa do tej pory. Nawet wywieźli na taczkach dyrektora.

– Warto by zobaczyć, jak to wygląda na miejscu.

– Siedziałem w mieście dwa dni. Miałem zrobić reportaż.

– Zrobił pan?

– Owszem, ale naczelny wyciął mi wszystkie co pikantniejsze szczegóły i dopisał własny komentarz.

– My panu nic nie wytniemy.

– Właśnie na to liczę.

– Kiedy dostarczy pan materiał?

– Mam go przy sobie. – Prut wyciągnął z aktówki maszynopis.

- Będzie tego koło sześciuset wierszy. – Anglik nawet nie zainteresował się treścią. – Trochę dużo... No, ale jakoś zmieścimy. – Zwinął maszynopis w trąbkę na znak, że tekst został przyjęty.
- Kiedy otrzymam honorarium?
- Proponuję, żebyśmy się spotkali w przyszły piątek o tej samej porze. Odpowiada panu?
- Jak najbardziej.
- Jeśli pana artykuł zostanie przyjęty tak samo życzliwie jak poprzedni, może pan liczyć na co najmniej dwieście dolarów.
- Nieźle...
- Za dalszą współpracę, mister Prut! – Deary zachęcającym gestem podniósł kieliszek.
- Kto wie, czy w końcu nie zaangażujemy pana jako naszego stałego korespondenta...

IV

- Trzymaj mnie, Antoś, bo jak Boga jedyne go kocham, przyłożę bydlakowi po ryju!
 - Nie szkoda ci, Wacek, ręki? Przecież to jeszcze szczawik.
 - Więc po kiego licha się stawia?
 - Daj spokój. Wypijemy po małym, to i złość ci odejdzie.
 - Golnąć sobie możemy, ale i tak gówniarzowi nie daruję...
- Dwaj zionący na odległość odorem alkoholu mężczyźni tarasowali wejście do „Gazeli”, tocząc w nim pijacką dysputę. Tęgi, łysy jak kolano brodacze koło pięćdziesiątki usiłował poskromić temperament młodszego co najmniej o dziesięć lat chudego blondyna z szeroką szramą na policzku, który zawzięcie gestykulując odgrażał się jakiemuś bywalcowi knajpy i ani myślał zrezygnować ze swych buńczucznych planów.
- Makula przez dobrą minutę spoglądał niezdecydowanie na wrzeszczących mężczyzn. Nigdy nie przepadał za tego typu towarzystwem. Również i teraz wolał zaczekać, aż tamtym znudzi się wystawanie w drzwiach „Gazeli”. Niestety nic nie wskazywało na rychły koniec dyskusji roznamietnionych pijaków. W końcu farmakolog przełamał wewnętrzne opory i ruszył do wejścia.
- Czy mógłbym panów przeprosić? – bąknął jak umiał najgrzeczniej. – Chciałbym do środka...
 - Spieprzaj! – warknął chudy, gniewnie potrząsając pięścią. – Już cię tu nie ma!
 - Spokojnie, Wacuś! – Łysy grubas próbował łagodzić gniew swego kolegi. – Nie widzisz, że szanowny pan grzecznie prosi, żebyś go przepuścił?
 - Ale ja tu stoję! – uparcie powtórzył chudy. – No co, może się nie podoba?! – dorzucił, spoglądając zaczepnie na doktora.
 - Co ma się mu nie podobać? – cierpliwie interweniował Antoś. – Gość poczuł pewno pragnienie i chce strzelić sobie lufkę, a ty go namawiasz do prohibicji.
 - Otóż to! – podchwycił Makula, z trudem powstrzymując się, by nie powiedzieć, co naprawdę myśli o tarasujących wejście pijakach. – Umówiłem się na kielicha z kolegą.
 - Z kolegą? – Wacek gwałtownie zamrugnął powiekami. – Słyszałeś, Antoś?
 - Jasne, że z kolegą. – Grubas wzruszył ramionami. – Przecież ten pan, za przeproszeniem, nie świnia, żeby samemu flaszkę obciążać.
 - Skoro tak, to co innego – ustąpił chudy. – Włóż, szefuniu, i zaprawiaj!
- Obaj mężczyźni cofnęli się nieco, robiąc farmakologowi przejście. Doktor wymruczał coś w rodzaju podziękowania i wszedł do środka. W ciemnej, niemiłosiernie zadymionej salce panował okropny zaduch. Odór alkoholu mieszał się z wyziewami z kuchni i zgniłym zapachem butwiejących desek podłogi. Makula rozejrzał się dookoła z wyraźnym

niesmakiem. Wszystkie stoliki były zajęte, nigdzie jednak nie dostrzegł Porębskiego. Odruchowo zerknął na zegarek. Do umówionego spotkania brakowało jeszcze paru minut, nie miał więc powodu do niepokojów.

Czekał blisko kwadrans, nim jakieś wyglądające z wiejska, najwyraźniej przypadkowo tutaj zaplątane, towarzystwo ruszyło się od stolika. Zamówił ćwiartkę wódki z zakąską i siadłszy tyłem do sali starał się nie zwracać uwagi na otoczenie. Pulchna, błyskająca koronkami na przednich zębach kelnerka stawiała właśnie przed farmakologiem talerzyk czegoś, co jej zdaniem miało być sałatką galicyjską, kiedy za jego plecami zahuczał tubalny głos Wacka.

– Co, szefie, twój koleś, psia jego mać, nawalił?
– Spóźnia się – odburknął doktor niechętnie. – Pewno coś mu wypadło.
– Póki co, nie nudno tak samemu przy stoliczku? – Obok chudego pojawił się łysy grubas. – Jeśli szanowny pan nie pogardzi naszym towarzystwem...
– Siadaj, Antoś! – Wacek bezceremonialnie pchnął kompana na krzesło. – Nie widzisz, że szefunio nas zaprasza?

Makula miał zamiar zaprotestować, ale widząc groźną minę chudego ugryzł się w język. Nie pozostawało mu nic innego, jak ze stoickim spokojem przyjąć zrządzenie losu...

– Będzie mi bardzo miło – wymamrotał pod nosem. – Zaraz poproszę o kieliszki.
– Słyszysz, Wacek?! – Grubas szczerze się ucieszył. – Szanowny pan ma życzenie nam postawić.
– Od razu wiedziałem, że to równy gość...
– Pani Zosiu! – Antoś zaczął nawoływać przeciskającą się między stolikami kelnerkę. – Niech pani pozwoli!

Dziewczyna wzruszyła niecierpliwie ramionami i nawet nie odwróciła głowy. Urażony do żywego grubas miał właśnie zamiar ponowić wezwanie, ale ubiegł go chudy.

– Zośka! – ryknął na całe gardło. – Biegiem tu, bo inaczej sam po ciebie pójde!
– Czego, do jasnej cholery?! – zapiszczała gniewnie, nie przejmując się groźbą.
– Dawaj dwie połówki.
– Przecież macie świeżą ćwiartkę.
– Ćwiartkę, to sobie możesz wsadzić!

Kilkunastu bywalców „Gazeli” zarechotało pijackim śmiechem. Kelnerka poczerwieniała jak piwonia i przez moment nie wiedziała, co odpowiedzieć. W końcu rzuciła w stronę Wacka wściekle spojrzenie, obróciła się na pięcie i bez słowa zniknęła na zapleczu.

– Przyniesie? – zaniepokoił się Antoś.
– Jasne. – Wacek był pewny swego. – Wróci z gorzałą, zanim się obejrzysz...

Bezceremonialnie chwycił stojącą na stoliku butelkę i, nalawszy Makuli do kieliszka, a grubasowi do pożyczonej od sąsiadów szklanki, sam jednym haustem wypił resztę. Również i tym razem farmakolog nawet nie próbował protestować. Bez słowa opróżnił kieliszek, klnąc w duchu, że przyjął propozycję Porębskiego, by spotkać się w „Gazeli”. Co gorsza, tamtego w dalszym ciągu nie było i doktor zaczynał nabierać podejrzeń, że siedzi tu na próżno...

Zgodnie z przewidywaniami chudego kelnerka nie dała długo na siebie czekać. Ledwo zdążyli zapalić, kiedy ponownie pojawiła się na sali i nie zważając na wrzaski innych gości podeszła prosto do ich stolika. Oprócz zamówionej wódki przyniosła chleb i grubo pokrojony salceson.

– Jest pani cudowna, pani Zosieńko! – rozpromienił się Antoś, sięgając skwapliwie po jedną z butelek. – Nie zapomniała pani nawet o zakąsce.

– Zaraz, zaraz! – Zmroziła grubasa ostrym spojrzeniem. – Najpierw zapłaćcie, bo później, kiedy się popijecie, sam diabeł forsę od was nie wydusi.

– No, szefuniu! – podchwycił natychmiast Wacek, spoglądając znacząco na Makulę. – Potrząśnij kabzą. Zaprosiłeś nas czy nie?!

– Zaprosiłem – odburknął farmakolog, sięgając z rezygnacją po portfel.
Kelnerka skrupulatnie przeliczyła otrzymane pieniądze i nie wydawszy reszty wsunęła je do kieszeni fartuszka. Humor musiał się jej nieco poprawić, bo na odchodnym rzuciła znacznie już łagodniej niż przed chwilą:
– Dajcie znać, gdyby wam było mało...
– Spokojna głowa! – zapewnił chudy, mrużąc porozumiewawczo oko. – Osobiście polecę do ciebie po następną połówkę... A na przyszłość nie margaj, kiedy cię o coś proszę. – Bez cienia skрэpowania klepnął Zoškę w pośladek. – Zapamiętaj to sobie, kotku!
– Łapy przy sobie! – fuknęła, ale raczej dla zachowania pozorów niż z rzeczywistej urazy. – Nie dla psa kiełbasa!
– Chluśniem, bo uśniem! – wtrącił się Antoś, który zdążył już tymczasem napełnić kieliszki. – Zdrowie pani Zosi!
– No to cyk! – ochoczo podchwycił Wacek.
– Oby nam się...
Wypili. Grubas natychmiast sięgnął po butelkę, by ponownie napełnić kieliszki. Nalewał właśnie chudemu, kiedy ten nieoczekiwanie bluznął ordynarnym przekleństwem.
– Co jest? – W głosie Antosia zabrzmiało zdziwienie. – Wódka ci nie smakuje?
– To rude ścierwo znowu krzywo się patrzy! – sapnął Wacek, czerwieniejąc ze złości. – I jak takiemu nie dać po ryju?!

Makula zerknął z niepokojem w przeciwny róg salki. Przy zastawionym butelkami po piwie stoliku siedziało czterech długowłosych, niespełna dwudziestokilkuletnich chłopaków. Jeden z nich, wyróżniający się jasnorudą czupryną, opowiadał właśnie o czymś, raz po raz parskając hałaśliwym śmiechem i spoglądając kpiąco w kierunku chudego.

Zachlał szczeniak mordę i teraz gałami przewraca. – Grubas usiłował zbagatelizować sprawę. – Lepiej napijmy się.

Wacek niemal odruchowo sięgnął po kieliszek. Wypił i ociężale dźwignął się z miejsca. Antoś chciał powstrzymać kompana, ale ten nie zwracając już na nic uwagi ruszył chwiejnym krokiem w kierunku rudego. Zebrani w knajpie przycichli. Zanosilo się na niezgorszą awanturę...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI